OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 10 Warszawa, Niedziela 14 marca 1937 r. Rok II

W obliczu ruiny

Niebezpieczeństwo załamania się ubezpieczeń społecznych w Polsce

Ubezpieczalniom społecznym grozi ruina. W sejmie bowiem zapadła uchwała, która przeszła coprawda prawie bez wrażenia w szerszej opinii publicznej, tym nie mniej uchwała ta ma niesłychanie doniosłe znaczenie, powodując całkowity przewrót w dotychczasowej organizacji ubezpieczeń społecznych.

Tą uchwałą jest sprawa zniesienia ulgowych opłat, płaconych przez Ubezpieczalnie, szpitalom samorządowym.

Na pierwszy rzut oka, sprawa ta wydaje się błahą. Przy bliższym jednak zapoznaniu się z tym zagadnieniem stwierdzimy, że ta pozornie drobna rzecz, to drobne podwyższenie stawek płaconych szpitalom, z 85% na 100%, rujnuje kompletnie finanse Ubezpieczalni, z trudem dotychczas bronione przed groźbą: deficytem.

Rozpatrzmy spokojnie i rzeczowo położenie np. Ubezpieczalni Warszawskiej, w jakiej ona się znajdzie, po wejściu w życie nowej ustawy sejmowej.

MILIONOWY BUDŻET

Dotychczas Ubezpieczalnia Warszawska mogła się pochwalić milionowym budżetem, wynoszącym 26.503.200 złotych.

Z tej sumy na świadczenia szła poważna suma 19.112.265 złotych. Na wyrównanie świadczeń z innymi Ubezpieczelniami i polityką sanatoryjno-uzdrowiskową przeznaczano 2.811.405 złotych. Administracja pochłaniała resztę, to jest 4.579.530 złotych.

Największa i najważniejsza pozycja to znaczy 19.112.265 złotych, obejmowała nietylko świadczenia chorobowe i zasiłki, ale również utrzymanie w odpowiednim porządku ambulatoriów, przychodni, opłaty za szpitale i t. p.

I teraz, niespodzianie, ta suma, z wyżyłowanego do ostatka budżetu Ubezpieczalni, będzie musiała ulec niewątpliwie nagłej, w nowym roku podwyżce.

Tymczasem pozostałe pozycje budżetowe, a więc administracja i wyrównanie świadczeń innych Ubezpieczalni, można nazwać pozycjami martwymi, gdyż nie będzie można ich w znaczniejszym stopniu zredukować. One muszą być mniej więcej na dotychczasowym poziomie, aby Ubezpieczalnia mogła odpowiednio do potrzeb swych ubezpieczonych funkcjonować.

Cóż się za tym stanie? Pierwsza pozycja poważnie urośnie, dwie pozostałe będzie można tylko *groszowo* zredukować. Więc?

Ubezpieczalni grozi deficyt. Deficyt tym groźniejszy, że choć ubezpieczonych wciąż przybywa, to na wykazach składek prawie, że się nie odczuwa tego. Zarobki bowiem tych nowych ubezpieczonych są groszowe, tym samym i składki są drobne. A przy tym ten nowy element przybywający na członków Ubezpieczalni, jest z reguły schorowany, wycieńczony, bądź to wskutek kryzysu, bądź innych warunków.

Wpływ za tym ze składek nie stoi w żadnym proporcjonalnym stosunku do wymagań chorujących ubezpieczonych.

Dotychczas Ubezpieczalnia z trudem mogła podołać swym obowiązkom. Gdy jednak obowiązki te będą stale wzrastać, przy jednoczesnym, dającym się odczuwać zaniku, wpływów gotówkowych — Ubezpieczalnia stanie przed zadaniem ponad siły, stanie przed ruiną.

TROCHĘ CYFR

Nie bądźmy jednak gołosłowni. Operujmy cyframi, zwłaszcza, że czytelnik mógłby sobie pomyśleć:

— Gadanie! Cóż może mieć za znaczenie drobna, 15-procentowa podwyżka opłat szpitalnych. Gdzie tu ruina?

Tymczasem ta właśnie drobna 15-procentowa podwyżka opłat szpitalnych ma kolosalne znaczenie, znaczenie tak wielkie, że może przewrócić cały system ubezpieczeniowy w Polsce.

Operujmy jednak cyframi.

Zobaczmy więc, jaka jest przeciętna składka preliminowana na 1937 r. Okaże się, że preliminowano składkę ubezpieczeniową przeciętnie w wysokości 6.56 zł. W styczniu jednak *nie osiągnięto* tej preliminowanej wysokości. Wysokość bowiem tej przeciętnej spadła do 6.40 zł.

A pamiętajmy, że liczba ubezpieczonych nie maleje, a wzrasta. Zwróćmy uwagę, że przy stale zmniejszających się wpływach, stale coraz więcej ubezpieczonych musi obsłużyć ubezpieczalnia! Potrzeby za tym rosną, gdy dochody maleją.

W 1936 r. przeciętna składka wynosiła jeszcze 6.90 zł. w 1937 r. prelimi nowano więc ostrożnie 6.50 zł., lecz styczeń przekreślił te rachuby, dając tylko cyfrę 6.40 zł.

Przy tych stale zmniejszających się wpływach, potrzeby Ubezpieczalni nie zmniejszają się, lecz rosną. W roku ubiegłym zapłacono samym miejskim szpitalom, za przebywających tam ubezpieczonych kwotę 3.890.000 złotych. Innym szpitalom 3.350.000 zł.

W roku ubiegłym Ubezpieczalnia zapłaciła za 600 tysięcy dni chorobowych szpitalom.

W tym znów roku, w styczniu, dnie szpitalne mogą się pochwalić cyfrą 49.000. Dnie znów sanatoryjno-uzdrowiskowe — 13.000.

Są to, jak widzimy cyfry imponujące, cyfry wymagające na swe pokrycie olbrzymich funduszów.

STAWKI SZPITALNE

Dotychczas Ubezpieczalnia, po licznych targach i obniżaniu cen w szpitalach ustaliła następujące stawki w szpitalach miejskich:

za mieszkańców Warszawy	5.78 zł.
za mieszk. z poza Warszaw.	6.63 „
w zakładach położniczych za mieszkańców Warszawy	7.22½ „
w szpitalach dla dzieci z Warszawy	7.65 „
w szpitalach dla dzieci z poza Warszawy	8.50 „
w zakładach dla obłąkanych dla Warszawy	4.67½ „
w zakładach dla obłąkanych z poza Warszawy	5.35½ „
w oftalmicznych dla Warszawy	5.27 „
w oftalmicznych z poza Warszawy	6.12 „
w zakaźnych dla Warszawy	5.31 „
z poza Warszawy	6.16 „

W prywatnych szpitalach stawki były niższe i, w dodatku, bez różnicy, czy chory był mieszkańcem stolicy, czy podmiejskich powiatów.

Szpitalom prywatnym Ubezpieczalnia za tym zapłaciła, bez względu na oddziały dziennie 5.80 zł.

w zakładach położniczych	7.00 „
w dziecięcych	7.00 „
klinikach	7.50 „

KALKULACJA CEN

Zapoznawszy się z tymi cenami możemy stwierdzić z całą bezstronnością, że władze Ubezpieczalni warszawskiej, w trosce o dobro instytucji i ubezpieczonych, wyżyłowały bezlitośnie ceny w szpitalach prywatnych. Możnaby nawet zaryzykować twierdzenie, że w wielu wypadkach szpitale prywatne przyjmowały chorych ubezpieczonych w cenie poniżej kosztu własnego.

Można to niewątpliwie wytłumaczyć tym, że szpital prywatny wolał mieć niewielkie straty, trzymając chorego z Ubezpieczalni, niż mieć całkowitą stratę pustego łóżka.

Z szpitalami miejskimi sprawa przedstawia się inaczej. Ich ceny z pewnością nietylko pokrywały koszt własny, ale nawet dawały pewien zysk, biorąc zwłaszcza pod uwagę, dość kiepski stan tych szpitali.

Warto przy tym podkreślić, że większość szpitali warszawskich było ufundowanych przez osoby prywatne. W intencjach też fundatorów leżało zapewnienie mieszkańcom stolicy, lepszej opieki lekarskiej.

W związku więc z tym należałoby przeprowadzić właściwą kalkulację kosztów szpitali miejskich.

Podniesienie bowiem ustawowo obecnych stawek krzywdzi nietylko Ubezpieczalnię, ale i ubezpieczonych, nic za to lepszego nie dając.

Podniesienie stawek w szpitalach miejskich automatycznie podniesie stawki w szpitalach prywatnych, które z całą pewnością, po tylu latach chudych zechcą się „odegrać".

UTRACONA RÓWNOWAGA

Cały więc z trudem skonstruowany budżet Ubezpieczalni, cała równowaga finansowa tej Instytucji może w ten sposób runąć w gruzy.

Biorąc bowiem pod uwagę składkę przeciętną, osiągniętą w styczniu 6.40 zł. i stawkę szpitalną miasta 5.78 zł., równowaga budżetowa była utrzymana, dając nawet Ubezpieczalni drobny, a jednak duży zysk.

Po podwyższeniu stawki szpitalnej na 6.80 zł., a może nawet na 7 zł. cała równowaga runie. Powstanie deficyt, który, kto będzie regulował?

KTO BĘDZIE PŁACIŁ?

Podwyższy się składki pracowników? Nonsens, przy obecnych, zwłaszcza, tak małych zarobkach. Przerzuci się ciężar ubezpieczeń na pracodawców? Przedsiębiorstwa więcej ciężarów ubezpieczeniowych i podatkowych nie wytrzymają.

Kto więc będzie pokrywał deficyt? jest to pytanie istotne, pytanie, na które będzie niezmiernie trudno znaleźć odpowiedź.

Instytucji, bowiem samej, jaką jest Ubezpieczalnia, jest niewątpliwie najzupełniej obojętne, kto będzie płacił, kto będzie pokrywał wytworzony przez podwyższenie stawek szpitalnych deficyt.

Od Ubezpieczalni przecież żąda się sprawnego działania, żąda się, aby nie pytała, kto jest chory, tylko, aby leczyła. Formalności po tym można załatwić.

Ubezpieczalnia też stale poprawia swą organizację, stale robi ulepszenia.

Ubezpieczalnia jednak nie będzie wnikać, skąd wziąć potrzebne fundusze. Fundusze muszą być zebrane drogą składek. Kto jednak będzie płacił te składki i w jakiej wysokości, to Ubezpieczalni jest najzupełniej obojętne.

Nie może to być obojętnym przeszło półmilionowej armii ubezpieczonych, czy ich składki na rzecz Ubezpieczalni zostaną podwyższone. Nie może to być obojętnym również i dla pracodawców, zagrożonym nowymi ciężarami ubezpieczeniowymi.

MIASTO MUSI POMÓC

Jesteśmy zdania, że stawki szpitalne w szpitalach miejskich nie mogą ulec podwyżce. Do obowiązków bowiem samorządu powinno należeć danie mieszkańcom odpowiednich warunków sanitarnych i urządzeń zdrowotnych.

Gdy za tym ciężar ten, w znacznym stopniu, spoczywa na barkach Ubezpieczalni, to nie można tej instytucji walić kłód pod nogi, lecz trzeba otoczyć ją życzliwością i spieszyć z odpowiednią pomocą.

Ubezpieczeni płacą składki, a nie jest ich winą, że wysokość tych składek obniża się nieustannie. Jest to wina warunków, powodujących stałe obniżanie zarobków.

Samorząd też powinien pospieszyć z pomocą, utrzymując nadal ulgowe stawki w szpitalach. W interesie bowiem tego samorządu leży także zdrowie mieszkańców, płacących podatki.

Szczęśliwie, że uchwalono w Sejmie wejście tej ustawy w roku przyszłym. Nie można jednak zwlekać z rozpatrzeniem tej sprawy. Trzeba ją rozważyć już dziś, zaraz, aby przekonawszy się o wielkich szkodach, jakie może ta uchwała sejmowa przynieść, był jeszcze czas na zmianę.

Na zmianę, która nie zrujnuje systemu obecnych ubezpieczeń, ani nie przyniesie nowych obciążeń ani pracownikom, ani pracodawcom.

Argus.

Czeska pryjaźń

Jak pracują polonofile w Czechosłowacji

Wśród talmudystów endeckich i fołksfrontowych „adriowców" nie brak naiwnych, którzy każdy przejaw krytyki postępowania Czechosłowacji natychmiast chrzczą mianem usług ad majorem Germaniae gloriam.

Zapamiętali ci czechofile są tak dalece bezkrytyczni, że nie odróżniają polskiego interesu państwowego od wysługiwania się obcej agenturze. Tym więc, ad perpetuam rei memoriam, będziemy urządzali od czasu do czasu partie de plaisir i dowodnie składali budujące serca czechofilskie zdarzenia i przykładziki, jakimi to polonofilami są Czesi.

Piszemy o Czechosłowacji tylko z punktu widzenia interesów państwa i narodu polskiego. Dalecy też jesteśmy od popierania jakiekolwiek obcej agentury albo też angażowania się w politykę obcą, nie możemy być jednakże obojętni ani na los mniejszości polskiej w Czechosłowacji, ani też na zachowanie się się Czechów względem Polaków.

CO ROBIĄ CZESI

Obecny stan zaognienia, między Polską i Czechosłowacją wypłynął z następujących przyczyn: 1. wynaradawiającej polityki rządu czechosłowackiego względem Polaków, zamieszkałych pod zaborem czeskim, 2. z wyraźnego sojuszu sowiecko-czeskiego, skierowanego przeciwko Polsce, 3. z dążenia do częściowego rozbioru Polski przez stworzenie wspólnej granicy między ZSSR a Czechosłowacją, 4. z nieustającego mieszania się Czechosłowacji i jej obywateli do spraw wewnętrznych Polski, a głównie podsycanie u nas zatargów na tle narodościowym, ciągłe popieranie irredenty ukraińskiej i białoruskiej, stałe kształcenie w duchu antypolskim młodzieży ukraińskiej, białoruskiej i rosyjskiej, 5, tolerowanie na swym terenie legalnej partii komunistycznej i szeregu zrzeszeń bolszewizujących (np. wolnomyślicieli), którzy swą działalność przenoszą na teren Polski i 6. szkodzenie Polsce w opinii światowej przez ogłaszanie różnych publikacyj (Szeba, Fiala, Vozka, Chmelarz i t. p.), a nawet tendencyjne nastawianie opinii pobratymców (Slov. Prehled).

Warunkiem zgody polsko-czeskiej jest przede wszystkim odstąpienie od prześladowań Polaków w Cieszyńskim i przemiany wewnętrzno - polityczne Czechosłowacji w kierunku zniweczenia wpływów komunistycznych i ograniczeniu wpływów socjalistycznych.

Zgodę również mogą z Polakami budować agrariusze, narodowcy czescy lub ludowcy słowaccy ks. Hlinki, ale nigdy socjaliści czescy, których konto jest mocno obciążone antypolską działalnością, a których były sekretarz generalny Szeba tak się niewdzięcznie zapisał w pamięci Polaków.

CZESI BEZ PRZYJACIÓŁ

Niestety, Praga jednak tego wszystkiego nie rozumie i nie chce rozumieć. Wszyscy prasowcy posyłani do Polski są przeważnie nastawienia socjalistycznego, a czy czasem nie po to ich się kieruje, aby lepiej się dogadać z niedawno zlikwidowanym przez władze DZIENNIKIEM POPULARNYM, czy innym organem Kominternu. Praga, gdzie ster polityki zagranicznej, dzierżą ludzie absolutnie nie rozumiejący ani dzisiejszej Polski, ani też ducha jej przyszłego ustroju i polityki, robi głupstwo za głupstwem, a rezultaty są dziś widoczne:

1. towarzystwo polsko - czechosłowackie w Warszawie istnieje tylko formalnie,

2. całe społeczeństwo z wyjątkiem garsteczki sympatyków Kominternu jest nastawione nieprzyjaźnie względem Czechosłowacji,

3. w całej prasie panują wrogie nastroje antyczeskie a każdy gwałt czeski na Śląsku jest żywo komentowany, zarówno w rządowej, jak i opozycyjnej,

4. czechofile albo się pochowali i milczą, albo, podtrzymując przyjaźń dla narodu czeskiego, dość gwałtownie występują przeciwko dzisiejszej sowietofilskiej polityce Czechosłowacji i jej politykom.

Dyplomacja czeska w Polsce poniosła już tyle klęsk, że pewnikiem się już stało, że przy tej obsadzie ról — poprawa jest niemożliwa.

JAK BYŁO DAWNIEJ...

Sami Czesi widzą dokąd ich zawiodła bezrozumna megalomania. A przypomnimy, jak to było w 1922 r. I wówczas było nastawienie antyczeskie w Warszawie. Świeży był w pamięci ogółu brutalny najazd czeski na piastowski Śląsk, a szyby w oknach konsulatu czeskiego na Poznańskiej, co pewien czas były tłuczone przez manifestantów warszawskich. Umieli jednak Czesi trafić do społeczeństwa.

Przypominamy samym Czechom, jak to wówczas robili.

1. na Śląsku zaprzestali gwałtów i w stosunku do Polaków zaczęli lojalną politykę, 2. nie robili nagonki na żadnego z dyplomatów polskich, 3. zamiast ogłaszać wrogie książki—szczycili się między sobą ludźmi tej miary, co ś. p. Franciszek Kvapil czy Elżbieta Krasnohorska, tłumaczami poezji polskiej, a na Uniwersytecie Karola w Pradze ufundowali katedrę literatury polskiej, 4. zamiast sowietofilskich hec i antypolskich procesów na Śląsku, urządzili podniosłe manifestacje, podczas przewozu trumny ze zwłokami Sienkiewicza, a także szereg serdecznych manifestacyj np. z okazji czczenia zasług Żeromskiego i Reymonta czy t. p.

Do Polski wtenczas oddelegowano najzasłużeńszych polonofilów, a mianowicie pp. Adolfa Czernego, dziś emerytowanego radcę ministerialnego i redaktora Wacława Dreslera, który, niezadowolony obecnie z polityki względem Polski, sam się zrzekł praw emerytalnych i wyszedł ze służby państwowej.

Ci dwaj ludzie swego czasu potrafili naprawić stosunki polsko-czeskie. Oni to od człowieka do człowieka w Polsce, budując od podstaw gmach przyjaźni, umieli równocześnie nastawiać i opinię czechosłowacką, a kochając Polskę, najlepiej służyć swej ojczyźnie.

Adolf Czerny przez pięćdziesiąt lat już służy piórem naszemu krajowi. Tłumaczył obok Kvapila najcelniejsze utwory naszych wieszczów, idąc śladami swego mistrza Edwarda Jelinka.

Jeszcze więcej, chociaż jest wciąż nieznany, zasłużył się Polsce redaktor Wacław Dresler. Najprawdziwszy nasz przyjaciel, który już 14 książek o Polsce napisał a artykułów chyba 10.000. Ten właśnie człowiek na skromnym stanowisku referenta prasowego w latach 1922-24 dokonał niewątpliwie cudów pojednania i uspokojenia.

...A JAK DZIŚ

A cóż dzisiaj Czesi robią?

Czy chcą zgody? Nie! Polonofilów czeskie ministerstwo nie dopuszcza do głosu, a oficjalni przedstawiciele na rozkaz Pragi bojkotują w Warszawie nawet związki słowiańskie.

Wszelkie też próby ze strony przyjaźnie do Polski ustosunkowanych jednostek, na terenie Czechosłowacji są w każdym wypadku paraliżowane i gnębione w zarodku. Abyśmy nie byli gołosłowni przytoczymy ciekawy kwiatuszek z grządki t. zw.. polonofilów czeskich.

SPRAWA „GROSZA"

W listopadzie 1936 r. na łamach tygodnika reportażowego „GROSZ", wydawanego w Pradze, zapoczątkowano w szeregu artykułów akcję, mającą na celu bezstronne poinformowanie opinii czeskiej o Polsce i o przyczynach rozdźwięków polsko-czeskich. Redakcja tygodnika „GROSZ", drukując pierwszy cykl, zapowiedziała solennie we wstępie, że będzie kontynuować ten cykl przez szereg tygodni. Ze swej strony donosiliśmy naszym Czytelnikom o tej godnej uznania inicjatywie i nawet streszczaliśmy poglądy autora. Niestety dalszego ciągu nie mogliśmy się doczekać. To dało nam dużo do myślenia i po kilku tygodniach badań ustaliliśmy przyczynę milczenia tygodnika „GROSZ" w Pradze.

Oto poprostu w sprawę wdało się ministerstwo spraw zagranicznych republiki czechosłowackiej i oświadczyło, że nie życzy sobie polonofilskich artykułów w tygodniku „GROSZ".

Redaktor tego tygodnika p. dr. Franciszek Kocourek jest wychowankiem sławetnego „Centropressu" t. j. czeskiej, a raczej czesko-socjalistycznej, półurzędowej ajencji prasowej, dyrygowanej przez Szwichowskiego i Hajka z ministerstwa spraw zagranicznych. Aby stłumić akcję polonofilską na łamach „GROSZA" w zarodku, oddziałano również i. na brata redaktora dr. Rościsława Kocourka, który jest urzędnikiem Czerwonego Krzyża Czechosłowackiego i podlega... pani Alicji Masarykowej.

Wpływy narodowo-socjalistyczne, ogarniające czeskie MSZ, większy nacisk wywołały, aniżeli Bat'a i konfekcyjny koncern Nehera, które jak fama powszechna w Pradze głosi—popierają GROSZ i używają tego tygodnika jako swej tuby prasowej.

I rzecz charakterystyczna — oto firma BAT'A ocuciła się w roli dobrodzieja subwencjonującego tygodnik „GROSZ", znaczący się dziś polonofobstwem...

CZESKA CENZURA

Ostatnio rząd czechosłowacki chwycił się nowego środka do walki z wpływami polskimi.

Oto dziennikarzom, literatom i działaczom polonofilskim w Czechosłowacji zatrzymuje się prasę przesyłaną z Polski... Robi się to celowo i perfidnie, aby uniemożliwić tym ludziom działalność informacyjną... I to się dzieje właśnie w przereklamowanej „oazie demokracji".

A teraz najświeższy skandal:

Jeszcze w lecie r. ub. jedno z towarzystw słowiańskich w Warszawie wyjednało ze spółki wydawniczej „Książnica Polska", jako dar, 80 czytanek polskich Tynca-Gołąbka. Czytanki te nie zawierały w treści nic takiego, co mogłoby nie podobać się cenzorowi czeskiemu, a jeden z autorów czytanki, docent Gołąbek, jest stałym bywalcem poselstwa czechosłowackiego i przyjaźni się z Czechami. Czytanki zostały przeznaczone w ilości po 40 sztuk dla „Czechosłowacko-Polskiego Stowarzyszenia w Pradze", gdzie grupują się przeważnie Czesi, i dla analogicznego stowarzyszenia w Bratisławie, gdzie znów należą Słowacy. Miały być użyte, jako pomoce szkolne, przy organizowaniu zimowych kursów bezpłatnych języka polskiego.

Przesyłka tych książek została dostarczona attache prasowemu pos. czechosłowackiemu w Warszawie dr. J. Hejretowi, który też solennie zapewnił, że książki zostaną przesłane adresatom.

Skoro po trzech miesiącach żadne z towarzystw nie potwierdziło odbioru książek, zainterpelowano d-ra Hejreta, który odpowiedział, że książek jeszcze nie wysłał, ponieważ czeskie ministerstwo oświaty nie dopuszcza do Czechosłowacji polskich książek szkolnych, a w tym przypadku będzie udzielone dopiero zezwolenie po zbadaniu sprawy...

Taka odpowiedź prasowca czeskiego zgóry wróżyła niepomyślny obrót dla sprawy i jasnym z tego się stało, że polonofile stempla czechosłowackiego" w Pradze i w Bratisławie albo nie życzą sobie podtrzymywania stosunków z Polakami (bo i do tych towarzystw pisano kilkakrotnie), albo też tutejszy prasowiec złym okiem patrzy na każdy przejaw troski o zapoznawanie Czechów czy Słowaków z Polską.

Od kilku miesięcy ofiarodawcy piszą listy i do Czech i do prasowca, aby otrzymać pokwitowanie lub jakąkolwiek wiadomość, co się stało z przesyłką bezpłatną 80 książek polskich, ale panuje głucha cisza.

Wobec tego należało zapytać publicznie, a przy tej okazji oświetlić kwestię: jak pracują polonofile czescy?

Sza-Sza

Rozwój prasy

W Szwajcarii a Polsce

W Szwajcarii pisma codzienne mają nakłady następujące: (w egzemplarzach).

Journal de Genève 13.000, La Suisse 30.000, L'Impartial 17.000, Tribune de Genève 48.000, Neue Züricher Nachrichten 10.000, Basler Nachrichten 17.000, Gazette de Lausanne 16.000, Vaterland 17.000, Landbote 12.000, Luzerner Tagblatt 20.000, Nationalzeitung 36.000, Thurganer Zeitung 16.000, St. Galler Tagblatt 15.000, Volksrecht 23.000, Neue Züricher Zeitung 54.000, Tagblatt der Stadt Zürich 54.000, Emmenthaker Nachrichten 26.000, Tagensanzeiger — 90.000.

Francuskich czasopism 5 posiada łączny nakład 124.000 egz., zaś 13 niemieckich czasopism — bije się w liczbie 419.000 egz. Szwajcaria posiada 4.066.400 obywateli, a w tej liczbie 70,9% Niemców (2,9 mil.), 21,3% Francuzów (850 tys.), 6,? Włochów i 1,1% Retoromanów. Wobec tego na 100 Francuzów przypada 7 egzemplarzy, a na 100 Niemców aż 15 egzemplarzy.

Przeciętnie na stu mieszkańców 14 egzemplarzy.

Porównajmy te cyfry z sytuacją dzienników w Polsce i liczbą ludności? Czy w świetle naszego czytelnictwa jesteśmy mocarstwem?

Dla polepszenia sytuacji dziennikarzy, literatów, rysowników, zecerów, maszynistów, cynkografów, papierników i wogóle szerokiej rzeszy pracowników przemysłu poligraficznego powinno się w Polsce: 1. poddać rewizji kalkulację kartelu papierniczego i farbiarskiego, 2. wniknąć w ceny przemysłu maszynowego, 3. potworzyć gminne czytelnie, 4. zobowiązać lokale rozrywkowe do prenumerowania pewnej liczby dzienników i czasopism, 5. przez szkoły prowadzić propagandę czytelnictwa, 6. ograniczyć działalność radia, o ile w zakresie sprawozdawczym jest ona konkurencją dla dzienników, a wreszcie 7. ogłosić przez związek wydawców konkursu z nagrodami na najlepsze pomysły rozwoju czytelnictwa w Polsce.

a.

Piaskiem w oczy

Niefortunny popis młodego polityka

Bratnia Pomoc Studentów Nauk Politycznych w Warszawie, w osobie p. Jana Dolińskiego, pospołu z wileńską młodzieżą, na czele której stoi p. Arkadiusz Domański, oraz z młodzieżą krakowską pod przewodem p. Daniela Cabana, wydaje co kilka miesięcy dość okazały periodyk p. t. „MŁODY POLITYK I EKONOMISTA".

Wielogłowemu sanhedrynowi redakcyjnemu przewodniczy, a zarazem pismo podpisuje, jako „redaktor naczelny", p. Janusz Kowalczyk. Ale chociaż pismo formatem okazałe parturiunt montes, nascetur ridiculus mus.

Oto w n-rze 1—2, który cechuje brak linii ideowej, obok artykułu T.W. Miadowicza z Wilna.

entuzjazmującego się szkołą w Z.S.S.R., na stronie 10-tej nie podpisany autor bierze w obronę bolszewizm i zaprzecza, aby był on objawem patologicznym, który został zmyślony dla zniszczenia kultur.

Pomijając tę dość kosztowną zabawę w dziennikarstwo studentów Szkoły Nauk Politycznych w Warszawie, zwracamy szczególną uwagę

na wybryk prasowy

niejakiego Jerzego Urjasza, który popełnił znamienny artykuł p. t. „Z czeskiego punktu widzenia". Jakkolwiek artykuł ten redakcja opatrzyła dopiskiem, że jest dyskusyjny, nie mniej jednak stwierdziła, że „takie sprezentowanie czeskiego punktu widzenia jest ciekawe".

Otóż stwierdźmy na wstępie, że artykuł ten albo jest świadomym i cynicznym

załganiem się autora,

w co trudno uwierzyć, zważywszy młody wiek autora, albo jest dowodem nieuctwa. Tertium non datur.

P. Jerzy Urjasz ni mniej ni więcej, tylko wmawia w naszą młodzież, że **„wroga propaganda Czechosłowacji głosi, że jest ona bulwarem komunistycznym w Europie. Czesi twierdzą że niema nic bardziej nieprawdopodobnego, jak ogłaszanie Czechosłowacji krajem bolszewickim. Partia komunistyczna w Czechosłowacji nie istniała i nie istnieje wcale".**

O, młody polityku, najwidoczniej nie czytałeś nigdy żadnych gazet, skoro nie wiesz, że w Czechosłowacji nie tylko istnieli i istnieją komuniści, ale najzupełniej legalnie prowadzą swoją działalność. W wyborach do parlamentu legalna partia komunistyczna w r. 1929 uzyskała głosów 753.220, a w r. 1935 — 849.509 głosów. Parlamentarny klub partii komunistycznej Czechosłowacji liczył już w 1929 r. 41 członków pod prezesurą tow. J. Hakena, a senacki klub komunistów posiadał 20 członków pod przewodnictwem tow. Fr. Toužila. Po ostatnich wyborach w Narodowym Zgromadzeniu Republiki Czechosłowackiej (w 1935 r.) do dziś dnia jest 30 posłów i 16 senatorów komunistycznych.

Jakże można twierdzić publicznie, że partii komunistycznej nie ma w Czechosłowacji, podczas, gdy komuniści, jeśli wyłączyć Niemców, posiadają w izbach czechosłowackich *trzecie pod względem siły stronnictwo*, a pospołu z socjalistami wszelkiego autoramentu liczą:

czechosłowaccy komun.	**46**	**parl.**
socjal-demokraci czescy	**58**	**„**
narodowi socj. czescy	**42**	**„**
niemieccy sojaliści	**17**	**„**
chrześc. socj. niem.	**9**	**„**

Blok lewicy liczy więc 172 parlamentarzystów.

Zważywszy jednak, że w Czechach rządzi koalicja, złożona z lewicy, agrariuszów, niemieckich ugodowców, ugrupowań mieszczańskich i popolarów wydaniu czeskim w postaci admiratora ZSSR ks. Szramka,

komuniści co chcą robią

i im to zawdzięczać należy, że budują oni w sercu Europy katapultę do miotania zatrutych jadem komunizmu pocisków do państw ościennych.

Czyżby p. Jerzy Urjasz zaawansował na urzędowego propagandystę Czechosłowacji, że ażby się kłamać nauczył? Czyżby, pisząc o Czechach, *nie czytał żadnej broszury polskiej* o tych zagadnieniach traktującej? Czyżby nie sięgnął po pierwszy lepszy informator, nawet urzędowy czeski, aby stwierdzić jakie i jak istnieją partie w Czechosłowacji? Czyżby wreszcie stał się młodziutki p. Urjasz agentem prasowym i zaufanym Poselstwa Czechosłowackiego i w tym charakterze sypie piaskiem w oczy swym kolegom?

P. Urjasz napisał stek bzdurstw i głupstw. Wynikało to nie tylko z nieprzemyślenia, ale najwidoczniej z podsunięcia mu

przez kogoś cynicznego

głupstw najpodlejszych.

Najgorsze jest jednak, że p. Urjasz płynie od przesady do przesady. Więc twierdzi, że w Czechosłowacji „naród ani państwo nie podzieliło się na dwa wrogie obozy: skrajną lewicę i prawicę", a zapomina, że w tej

wieży Babel

obok kłótni i sporów między Czechami i Słowakami, są poważne spory z Niemcami (jest ich 23%), z Węgrami, z Rusinami, no i z Polakami. P. Urjasz twierdzi, że czeska „demokracja nie dopuszcza się gwałtownych aneksji", a zapomina, że Czesi

gwałtem zabrali Śląsk

i tam przez tyle lat prowadzą czechizowanie autochtonów polskich. P. Urjasz twierdzi o pokojowości polityki czeskiej, a zapomniał o książkach Szeby, Vozki i innych.

Szkoda zresztą miejsca na bliższe omówienie. W sprawę tę, za podnietą MSZ, ma wkroczyć związek międzynarodowego zbliżenia „Liga" i

położyć kres czechofilskiemu maniactwu.

A może ktoś chce przez to podlizywanie się Czechom zasłużyć sobie na ich hołdy?

Otóż niechaj wie, że i Czesi takimi lizusami pogardzą, bo ten naród wyjątkowo trzeźwy i obliczony,

liczy się jedynie z silnymi

i mogącymi dać zarobić.

Ponieważ jednak na innym miejscu „Młodego Polityka" napisano, że ks. senator Svetlik, filar rządowego stronnictwa ludowców czeskich, napisał, że w dzisiejszej sowieckiej Rosji następuje

ustrój 10 Przykazań Bożych,

więc „Młody Polityk" przypomina ten wóz z bajki, który miał zaprzęg z raka, łabędzia i szczupaka.

Oj, chłopcy ze Szkoły Nauk Politycznych za wiele i za często potraficie jurare in verba magistri, a samo tytułowanie się redaktorem nie wystarczy.

Ten.

W służbie Kominternu

„Marianne" zmienia front

Kiedy Adolf Hitler objął władzę w Niemczech, zaczął się zmierzch „siódmego mocarstwa", masońskiej prasy, której kierownicy rozpierzchli się po ościennych państwach.

W Berlinie wraz z odejściem tych redaktorów zniknęły z kiosków różne ilustrowane czasopisma i magazyny, które

pod hasłem „powrotu do przyrody"

były niczym innym, jak tylko rozsadnikiem zgnilizny moralnej i wszelkiego rodzaju pornografii. Z Berlina znikły, aby pojawić się w większej liczbie w Paryżu, gdzie ilustrowane periodyki te wydają przeważnie

emigranci z Niemiec,

ale tym razem już nie pod hasłem „powrotu na łono natury", ale pod wdzięcznie roześmianym hasełkiem „francuskiej pikanterii".

Czasopisma te głównie przeznaczone są na eksport. Spotykamy wiele z nich i

w polskich kawiarniach,

a jak to można ustalić w agencjach dzienników, głównymi ich odbiorcami są starzy ramole-lubieżnicy i młodzież gimnazjalna, która demoralizuje się prasą gnilną nadchodzącą do nas z Paryża.

W tym też czasie pojawiły się na bruku paryskim dwa tygodniki o krótkich tytułach: „Vu" i „Lu".

Pierwszy jest poświęcony reportażom z całego świata, a właściwie fotoreportażom, drugi jest przeglądem prasy. Naczelnym kierownikiem obu pism jest „Herr" Vogel, dziś już

„monsiuer" Fogel,

który w takim stopniu potrafił się zadomowić we Francji, iż dziś, jako naturalizowany dziennikarz i wydawca francuski, stał się niebezpiecznym dla patriotycznego ogółu francuskiego.

„Moniuer" Fogel potrafił się wcisnąć i do sfer prasowych i do sfer finansowych, a, umiejętnie lawirując, nawet

pozyskać łaski magnata Patenotra,

którego jedyną troską stała się nominacja jego właśnie na ambasadora Francji przy kremlińskim władcy Stalinie w ZSSR.

Wielką prasę t. zw. „wielką" — czyli, jak tam mówią,

„la grande presse",

składającą się z pięciu największych dzienników czyta prawie cała Francja, a jeden z tych dzienników, cieszący sie wielką poczytnością, mianowicie „Le Petit Journal" należy do magnata Patenotre'a.

Cóż robi snob francuski, chorujący na frak ambasadorski w Moskwie? Oto mianuje pana Vogla

naczelnym redaktorem dziennika „Le Petit Journal",

aby w sposób zręczny i nie zbyt rzucający się w oczy wsączył do mózgów czytelnika

jad bolszewizmu,

a tym samym zasługiwał się Moskwie.

Ale to jeszcze nie wszystko. Magnat Patenotre w dalszym ciągu stara się

o względy czerwonej Moskwy,

i jak tylko poczytny tygodnik „Marianne" zaczął kampanię przeciwko bolszewikom hiszpańskim, Patenotre

kupił „Mariannę"

i kampania ucichła, a „Herr" Vogel po obaleniu redaktora Berla objął tron „naczelnego" i w tygodniku „Marianne".

Ostrzegamy opinię polską, że duża ilość dzienników i periodyków we Francji znalazła się już

w służbie agentur Kominternu

i działa według instrukcji moskiewskiej. Fakt ten wywołał duże poruszenie we Francji, ale skończyło się na tym, że p. minister Chautemps—zresztą minister „frontu ludowego" — ograniczył się jedynie do zaproszenia pana Patenotre'a

na konferencję

i... „Herr" Vogel stał się wnet organizatorem prasowym całego „frontu ludowego" we Francji.

Obecnie ma być wydawany we Francji

specjalny dziennik dla kobiet

o tendencjach marksistycznych a na wielką skalę gazeta wieczorowa, któraby konkurowała ze wszystkimi wydaniami wieczorowymi pism opozycyjnych. Organizatorem jest kto? Emigrant niemiecki — „Herr" Vogel!

Co powiedzą na to żywioły prawicowe?

Narazie —

dają ogłoszenia

do gazet koncernu Vogla, bo interes musi być interesem.

Nauka z tego obcego przykładu płynie dla nas następująca, zwłaszcza po ostatniej likwidacji „Dziennika Popularnego":

1. rząd powinien w Polsce ogłosić nowelę do ustawy o prasie i ujawnić źródła finansowe we wszystkich dziennikach, i

2. rząd powinien obmyślić sposoby roztoczenia kontroli nad

a) napływającą do kraju zagraniczną prasą „frontu ludowego",

b) przychodzącą bibułą pornograficzną z zagranicy i

c) nadsyłanymi redakcjom biuletynami prasowych ajencyj zagranicznych.

Ruchliwości Kominternu musimy przeciwstawić naszą czujność.

Hermes.

Kramy ujazdowskie — pl. 3-ch Krzyży

W 1930 roku inż. Kazimierz Moszkowski i inż. Paweł Truskier nabywają tereny i budują „Kramy Ujazdowskie" na placu 3-ch Krzyży.

Było to wówczas rumowisko i gnojowisko. Plac zajmuje jedną morgę ziemi. Rozumiemy, że tego rodzaju kramy nie powinny istnieć w centrum, ale trzeba mieć wydatną pomoc B. G. K. lub K. K. O. na postawienie wspaniałego gmachu o 8-miu piętrach.

Odpowiednie plany znajdują się już u władz. Sklepów w kramach jest 136, handlujących zaś przeszło 500 osób, nie należy przeto robić paniki w prasie codziennej, gdyż obaj właściciele dokładnie zdają sobie sprawę, że tego rodzaju kramy wymagają usunięcia z serca stolicy, a narazie pozbawią chleba liczne rzesze handlujących.

K.

Edison humbugowym wynalazcą?

Dzieje żarówki i jej twórców

Niedawno prasa podała wiadomość o projekcie zbudowania wysokiej i architektonicznie pięknej latarni morskiej w New Yorku na pamiątkę wielkiego wynalazcy amerykańskiego Edisona. Wieża miałaby być zakończona u szczytu *olbrzymią żarówką o wielkiej sile światła*. Żarówka ta ma być najdobitniejszym symbolem wynalazczości Edisona.

Gdy dziesięć lat temu obchodzono 80-lecie urodzin Edisona, poczta amerykańska wypuściła znaczek pocztowy z żarówką na niej, znowu jako najżywszy *symbol jego wynalazczej działalności*.

Że malarz, rysownicy, grawerzy, architekci i inni twórcy symbolów z działalności Edisona najchętniej wybierają żarówkę, niema w tym nic dziwnego. Bo najstosowniejszym ze wszystkich możliwych obiektów jest ten, który ma najprostsze formy, najłatwiej wpada w oko. A do tego napewno nie nadawałby się dobrze np. telegraf, kwadroplex, czy mikrofon, czy aerofon, czy termometr powietrzny, czy inny wynalazek Edisona.

Z punktu widzenia tych kół, które z dziedziną wynalazków wogóle są w mniej lub więcej ścisłej łączności, a i działalnością inwencyjną Edisona się interesowali, nie można było wybrać

gorszego uplastycznienia wynalazczości Edisona,

jak właśnie ową żarówkę. Bo nie ulega wątpliwości, że Edison nie był wynalazcą elektrycznego światła żarowego, a tylko tym, który

pierwszy ten wynalazek opatentował.

A to jest duża różnica.

Dla tego też u ludzi, znających te sprawy, budzi się dziwne uczucie, patrząc na owe symbole, przedstawiające żarówkę, jako godło geniuszu Edisona. Przychodzi mimowoli myśl, czy jeżeli alegoria w tym specjalnym wypadku jest w błędzie, czy nie mają czasami racji i ci, którzy mocno krytycznym okiem rozpatrują wogóle twórczość Edisona; czy ta żarówka nie jest symbolem i w innym sensie?

W roku, kiedy został wydany ów znaczek pocztowy w Ameryce, wiele pism naukowych i technicznych poruszyło i sprawę pierwszeństwa rzekomego edisonowskiego wynalazku, a więc sprawę, czy on był tym mózgiem, w którym powstała idea żarówki (a więc rzecz najistotniejsza) i jej praktyczne wykonanie.

Do tych pism, które dały najbardziej przekonywujące dowody, że Edison tym wynalazcą niewątpliwie nie jest i którego wywody najbardziej mi utkwiły w pamięci, należało

czasopismo „Chemiker Zeitung“,

najbardziej rozprzestrzenione na kuli ziemskiej, z pism tego rodzaju.

Otóż, autor przytoczył tam swoje źródłowe dane, z datami, cyframi i nazwiskami. Więcej i bliżej się tą sprawą interesujących czytelników odsyłamy do owego rocznika „Chemiker Ztg.“. Jak to najłatwiej wynaleźć, podamy dalej. Tam też w adnotacjach znajdzie czytelnik i inne źródła dowodów wskazane (bądź czasopisma w różnych językach, bądź książki i broszury, bądź inny materiał).

Faktycznym wynalazcą żarówki był pewien optyk i mechanik, którego specjalnością były precyzyjne prace (t. z. „Präzisions-mechaniker, w Niemczech). *Pochodził on z Getyngi, w Niemczech* i wywędrował do Ameryki, gdzie się wkrótce dorobił.

Trzeba tu jeszcze zaznaczyć, że Getynga od przeszło 100 lat była i jest w Rzeszy *ośrodkiem koncentracyjnym* precyzyjnych mechaników, aparatów dla fizykalnych i chemicznych laboratoriów i wielu optycznych przyrządów. Naprzykład aparaty fotograficzne i kinematograficzne Goerza mają światową sławę. Wagi analityczne firmy Sartorius, na których można jeszcze dokładnie odważyć 0,1 mgr. spotyka się we wszystkich laboratoriach świata. Tak samo t. z. „Federwage“ prof. Nersta, służąca do ważenia nadzwyczaj małych ilości, także w Getyndze była najsampierw fabrykowana i jest jeszcze do dziś dnia. Można na niej odważyć jeszcze 0,0001 mgr.

Z takiego to środowiska wyszedł ten optyk — mechanik. Wynalazł on i fabrykował taką samą żarówkę, jaką w kilka lat później opatentował Edison. *Żarówka ta musiała być znana Edisonowi*, gdyż ów optyk — zwyczajem amerykańskim — wielu klijentom w sklepie kazał odwozić swój towar na trycyklach do domów.

Trycykle te miały na sobie rodzaj łuków triumfalnych, w formie girland, z samych palących się żarówek. Takimi samymi żarówkami były obramowane okna wystaw sklepowych optyka. Żarówki te miały w środku również w próżni zgięte

w formie podkowy

zwęglowe włókno kokosowe, jak to po tym było u Edisona.

Optyk więc dostarczał żarówki i innym, ale wielkich obrotów nimi nie robił, gdyż używano je wówczas do różnych drobniejszych celów. O głównym zastosowaniu żarówki, jakie ona dziś ma, t. j. do oświetlań domów, nasz optyk zdaje się nie myślał. Już może z tych względów

nie troszczył on się o opatentowanie,

gdyż opatentować coś, co niema masowego zbytu, tylko w rzadkich wypadkach się opłaca. Zdaje się przy tym, że była to głowa bardzo utalentowana technicznie, a businessman tylko w małym stopniu.

Znalazł on wkrótce 2—3 małych fabrykantów, jako naśladowców, którzy żarówki na małą skalę fabrykowali. Optyk przeciwko temu nie oponował, a zresztą nie miałby do tego żadnych podstaw prawnych, nie opatentowawszy swego wynalazku. Zresztą, nawet gdyby był opatentował, że nowość ta ma większą wartość, jako business, było już na opatentowanie zapóźno. Prawo patentu międzynarodowe z 1850 r.

posiada klauzulę t. z. przedłużycia wynalazku.

Jeżeli ktoś swój wynalazek użytkuje dla celów doświadczalnych, to takie użytkowanie wynalazku nie jest przeszkodą dla otrzymania patentu. Jeżeli zaś on swój wynalazek zużytkowuje handlowo i ciągnie zyski z tego lub dla celów reklamowych i t. p. przed zgłoszeniem się do patentu, to traci prawo do otrzymania go.

W tym razie u naszego optyka zachodził taki właśnie wypadek. Jednakże znalazł się ktoś, kto zgłosił ową żarówkę do amerykańskiego patentu. Był nim Edison. Był on lepszym

człowiekiem interesu,

niż wspomniani, którzy żarówki już od kilku lat przed nim fabrykowali. Przewidział on wielkie możliwości masowego zbytu i nie życzył sobie, aby mu ktośkolwiek w monopolu fabrykacji żarówek zawadzał. Zażądał więc

od faktycznego wynalazcy

i jego 2 satelitów i epigonów, aby zaprzestali fabrykacji żarówek nawet i na tę małą skalę. Ale chociaż wynalazca zapóźno zrozumiał wartość swego wynalazku i przez to utracił możność jego opatentowania, to jednakże wiedział już tyle, że na te żądania reagować nie potrzebuje. I wdrożona przez Edisona skarga sądowa przeciwko optykowi i jego naśladowcom, także nie odniosła skutku, t. j. zaprzestania fabrykacji przez zaskarżonych.

Edison sam skargę wycofał, nie dopuszczając do jej ostatecznego załatwienia. Zdawał sobie napewno sprawę z tego, że optyk jest faktycznym wynalazcą na długo przed Edisonem i nastąpiłoby unieważnienie patentu, z powodu braku cech nowości.

A tak mógł Edison patentować ten „swój“ wynalazek i w innych krajach i brać gotówkę za sprzedaż patentów na każdy z nich. Bo któż tam w świecie wiedział o egzystencji jakichś 3 maleńkich wytwórni. Zresztą Edison pozawierał te tranzakcje zaraz wkrótce po opatentowaniu, zanim się ktoś mógł zorientować, że mu brak cech nowości. Musiał to też uczynić jak najprędzej, bo

prawo patentowe daje tylko rok czasu,

aby wynalazek opatentować i w innych krajach. Procesu cywilnego o odbiór sum wytoczyć nie można, gdyż rzeczą kupującego jest zorientować się, co do stopnia cech wartości patentu. Sprawa karna jest również z tego i innych względów niemożliwa.

Nie ulega wątpliwości, że Edison mieszkając w tym samym mieście, co i wynalazca żarówki, w mieście wówczas mniejszym, jak dzisiejsza Warszawa, musiał o tym wszystkim wiedzieć, nie jest więc twórcą żarówki, tak często używanej jako symbolu jego działalności.

inż. B.

P.S. W „Chemiker Ztg.“ z roku 1937 (t. j. w roku wydania znaczka pocztowego) znajdzie czytelnik omówiony artykuł w rejestrze sub. „Edison“, „Glühbir“, „Glühlicht“.

Pismo to można przejrzeć we wszystkich wyższych uczelniach, gdzie wykładana jest chemia (uniwersytety, politechniki, szkoły gospodarstwa wiejskiego, leśnictwa, górnictwa etc.), a także w większych i wielu średnich przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych (ze względu na liczne głoszenie światowe).

Przyjaciel Turków

Szeba w nowej roli

Ostatnie doniesienia ATE z Czechosłowacji głosiły o tym, że osławiony bukaresztański poseł Szeba popadł w niełaskę, a jego książka została wycofaną przez rząd czechosłowacki z obiegu księgarskiego. Wiadomości te, nawet o ile by w drugiej swej części odpowiadały prawdzie, to jednak należy traktować je z wielką rezerwą, bowiem b. sekretarz generalny narodowych socjalistów czeskich, poseł Szeba, *wyjeżdża niebawem do Turcji*, gdzie przy prezydencie Ghazim Kemalu Ataturku w Angorze będzie ponownie reprezentował Republikę Czechosłowacką. Ponieważ książka Szeby zawierała obrazę i Rumunów i Polaków, mimowoli zadajemy sobie pytanie, czy czasami Szeba nie był na tyle zręczny, że... obraził może i Turków.

Jak przyjmą Turcy p. Szebę w roli posła Czechosłowacji, możemy sobie łatwo wyobrazić, jeśli przeczytamy wyjątek z książki Szeby na stronie 495:

„W przeciwstawieniu do rządu istambulskiego sułtana na czoło akcji w tym czasie wysunął się energiczny młody dowódca garnizonu erzerumskiego, Kemal pasza i rozpalił on w lipcu 1919 roku narodowe powstanie, którego ostrze zostało skierowane przeciwko Grekom i protektoratowi wielkich mocarstw. To stanowisko zostało bardzo silnie poparte przez Sowiety, które w okresie tych ciężkich zmagań i krwawych bojów dopomagały Kemalowi pieniędzmi i dostarczaniem broni. Dzięki tej właśnie istotnej pomocy Kemal — pasza zwyciężył, nie uznał traktatu serwskiego i wypędził z Małej Azji nie tylko Greków, którzy tam wtargnęli, ale nawet Greków od dawna tam osiadłych. Takto poczuli to Anglicy na swym grzbiecie znowu silną łapę rosyjskiego niedźwiedzia“.

Już ten cytat wystarczy dla scharakteryzowania lewicowego dyplomaty Szeby, który umniejszył zasługi Kemala paszy, wyolbrzymił rolę ZSSR (jak przystało na Czecha-moskalofila) i wygarnął przy tym, co się zowie, Anglikom, verba veritatis.

Ależ ponieważ mogą czytelnicy sądzić, że Szeba nie jest takim sowieckim lizusem za jakiego my go przedstawiamy, więc sięgniemy do książki *rosyjskiego publicysty Hurki-Kriażina* p. t.: *„Bliżnij Wostok i Dierżawy“*, w której odrodzenie dzisiejszej Turcji zostało przedstawione jako zasługa Kemala i narodu tureckiego, a nie jako skutek uderzenia Anglików przez niedźwiedzia rosyjskiego.

Hurko-Kriażin stwierdza, że Kemal-pasza najpierw wojował w wewnętrznej Anatolii i na Kaukazie przeciwko Armenii i początkowo oblegał i zdobywał Batum, a później dopiero zaczął rokować z Sowietami. Kriażin, bolszewicki pisarz, którego trudno posądzać o pomniejszenie zasług ZSSR, wyraźnie pisze, że środki finansowe Kemal-pasza uzyskał z likwidacji oddziałów Ottomańskiego Banku Rolniczego i z ofiar, na cele obrony państwowej, zaofiarowane przez naród turecki. Broń Kemal-pasza zdobył, napadając na składy broni tureckiej, dozorowane przez Anglików po rozbrojeniu armii tureckiej.

Tak wygląda popis pana Szeby w sprawie Turcji, gdzie pragnie posłować.

M.

Pożyteczna placówka

Na terenie Warszawy od 1890 r. istnieje znana firma „Poldrób“ (Polski Drób), której wytwórnia znajduje się na Targówku, ul. Handlowa 8, na odcinku, nota bene, znacznie odległym od domów mieszkalnych tej dzielnicy.

Dzięki odpowiednio urządzonej suszarni, chłodni i rzeźni, nic nie znać, że w tym miejscu znajduje się wytwórnia.

Wyroby wymienionej firmy osiągnęły wysoki poziom jakości, czego wymownym dowodem jest niezwykle ożywiony ich eksport, dochodzący do 90% całkowitej produkcji.

Okoliczność ta przyczynia się niewątpliwie do wytworzenia w naszym bilansie handlowym dodatniej rubryki, co podkreślić należy z uznaniem.

Wspomniana Firma zatrudnia 300 robotników, co w dobie trapiącego nas bezrobocia uważać należy za objaw dodatni.

K.

Tydzień ubiegły

Cała Warszawa została zaalarmowana, najdziwniejszym chyba ze wszystkich, strajkiem szewców—chałupników.

Ta najbiedniejsza rzesza rzemieślnicza, okupowała dużą liczbę sklepów z obuwiem, chcąc w ten sposób wymóc polepszenie warunków swego bytu.

Na wieść o tej swoistej formie protestu szewców stołecznych, maszerują do Warszawy z różnych miast Polski liczni chałupnicy, celem większego zadokumentowania, jak straszną była ich dotychczasowa dola.

Społeczeństwo, żywo współczując oryginalnym strajkowiczom, nie bardzo jednak się orientuje, w czym leży zło, gnębiące przeszło 200 tysięcy szewców-chałupników.

Zło to polega na tym, że wszyscy ci chałupnicy są uzależnieni od wyzyskiwaczy, których trudno nazwać przedsiębiorcami.

Otóż wyzyskiwacze ci, zakupują skóry i t. p. rzeczy potrzebne do roboty obuwia i następnie dają ten materiał szewcom-chałupnikom. Ci za marne, naprawdę groszowe, dniówki, robią obuwie, które już nie z dużym, ale wprost z wielotysięcznym procentem, sprzedają ci przedsiębiorcy.

Wynik jest taki, że wyzyskiwacze chałupników robią świetne interesy, a sami chałupnicy, harując dniami i nocami, zarabiają raptem kilka złotych na tydzień.

Podobnie zresztą jest z chałupnikami-krawcami, kapelusznikami, koszykarzami i t. p.

Całe te milionowe rzesze żyją w skrajnej nędzy, nawet bez widoków na lepsze jutro. Mówimy milionowe rzesze, gdyż tak jest w istocie.

Samych bowiem szewców-chałupników jest w Polsce około 200 tysięcy. Z rodzinami da to cyfrę około 800 tysięcy ludzi. Równie dużymi cyframi mogą się pochwalić i inni rzemieślnicy-chałupnicy.

Walka szewców-chałupników o umowę zbiorową, zapewniającą lepsze warunki płac, musi być wygrana przez tych pariasów Polski.

Niezależnie jednak od efektów, jakie da strajk, trzeba kuć żelazo póki gorące i przystąpić do rozwiązania istoty zagadnienia chałupnictwa w Polsce.

Jest rzeczą wszystkim dobrze wiadomą, że my w Polsce posiadamy minimalne kapitały własne. Gros przemysłu, gros handlu znajduje się w rękach obcych, we władaniu kapitału obcego, odnoszącego się obojętnie, jeśli nie wręcz wrogo, do potrzeb kraju.

Tego się nie da zmienić odrazu, gdyż nie stać nas na wykupienie wszystkiego z rąk obcych.

Są jednak możliwości, nawet duże możliwości, rozwiązania tego zagadnienia. Oby najdziwniejszy strajk szewców-chałupników zwrócił wreszcie uwagę na te dotychczas niewyzyskane możliwości wzmocnienia stanu posiadania polskiego.

Tymi możliwościami są, naszym zdaniem, spółdzielnie.

Zakładanie licznych spółdzielni pracy, handlowych, przemysłowych i t. p. da możność przez niewielkie składki członkowskie stworzyć pewną podstawę kapitału pod te przedsiębiorstwa.

Zorganizować za tym szewców-chałupników w spółdzielnie pracy, a odbierze się zbędnym pośrednikom, pseudo-przedsiębiorcom, rację bytu.

Wdzięczne pole do działania, w finansowaniu tych spółdzielni pracy, miałyby nietylko spółdzielcze kasy pożyczkowo-kredytowe, ale zwłaszcza komunalne kasy oszczędności, jak i nawet Bank Gospodarstwa Krajowego.

Przez spółdzielczość, naszym zdaniem, możemy jedynie spolszczyć życie gospodarcze w Polsce. Brzmi to może paradoksalnie, że w Polsce życie gospodarcze trzeba spolszczyć, ale tak, niestety jest.

Źle więc byłoby, gdyby biedni szewcy chałupnicy nie wygrali swej walki o poprawę bytu.

Jeszcze jednak gorzej byłoby, gdyby ta walka o swe życie chałupników, nie pobudziła do czynu odpowiednie czynniki społeczne.

Szkoda bowiem każdej chwili. Do rozwoju spółdzielczości na wielką skalę trzeba przystąpić już, natychmiast, odrazu.

Trzeba jednak także bardzo uważać, aby tę organizację spółdzielczą nie popsuć zbędnym doktrynerstwem. Życie przecież jest elastyczne i nie uznaje niezmiennych, scholastycznych form i formuł.

Dobrze byłoby, aby ci ludzie, którzy są powołani do zajmowania się sprawami spółdzielczymi o tym pamiętali i nie marnowali pięknej idei dla kurczowego trzymania się sztywnych ram, stworzonych i tworzonych przez siebie.

Ignis.

Czyżby naprawdę?...

...żona i córka polskiego Rotszylda, p. Mazurowa i Mazurówna, bawiąc obecnie w Zakopanem, chętnie przebywały przy jednym stoliku ze znaną ze swobody obyczajów warszawską pięknością, stałą bywalczynią nocnych lokali warszawskich?

*

...książe S. sprzedał lasy w swych dobrach za 12 milionów złotych? Lasy te kupiła pewna firma zagraniczna, która miała zamrożone, wskutek ograniczeń dewizowych, kapitały w Polsce. Pośredniczyła w tranzakcji krajowa firma leśna, której właściciel p. S., zarobił na tym kilkaset tysięcy złotych. Syn właściciela tej firmy kupił sobie nowego Buicka i stale jeździ obecnie we fraku, odwiedzając stołeczne lokale rozrywkowe.

Właściciel firmy leśnej p. S., uzyskał poza tym od zagranicznego przedsiębiorstwa prawa wyrębu. Ma więc zapewnione powodzenie finansowe.

*

...w Zakopanem można byłoby zaobserwować interesujący fakt zmiany nastawienia politycznego arystokracji polskiej? O ile dawniej nasi magnaci rozmawiali wyłącznie po francusku, to obecnie posługują się językiem angielskim lub niemieckim.

*

...w roku bieżącym miano udzielić aż 5000 paszportów zagranicznych po 80 złotych, dla obywateli polskich, chcących jechać do Czechosłowacji? Takie relacje pojawiły się w prasie czeskiej, która przy okazji zaznacza, że paszporty te mają być wydawane bez żadnych ograniczeń, a pozyskaniem 5000 turystów polskich zajmą się kierownicy biur podróży w Polsce.

*

...właściciel świeżo otwartej kawiarni przy ul. Sienkiewicza w Warszawie był niesłychanie dumny z tego, że ojciec jego, dawny lwowski fryzjer, był sobowtórem cesarza Franciszka Józefa? Zapewne, że bokobrody, to piękna rzecz, ale pocóż zaraz o tym wszystkim powiadać, jako o wspaniałej paranteli rodzinnej.

Ten sam kawiarz przechwalał się zresztą, że budowa lokalu i urządzenie kosztowało go ponoć 800 tysięcy złotych. Gotówką z tej sumy zapłacił tylko 30 tysięcy, a resztę, to jest 70 tysięcy ma dopiero spłacić. Typowy warszawski interes!

*

...na kursach maturalnych w stolicy panowały bardzo nienormalne stosunki? W ciągu roku szkolnego wymawia się posady nauczycielom. Wciąż przy tym trzyma się w szachu tych nauczycieli, którzy nie mają pozwolenia nauczania przez kuratorium. Tego rodzaju stosunki obniżają w dostateczny sposób poziom naukowy. Właścicielom jednak tych kursów chodzi widocznie mniej o to, aby uczniowie coś umieli i dostali upragnioną maturę, a wyłącznie traktują kursy, jako intratną imprezę dochodową. Mało dać — dużo wziąć, świetna maksyma.

Ogólnokrajowy Zjazd Elektrowni

Zjazd Ogólnokrajowy Elektrowni Polskich odbędzie się we Lwowie w dniu 7 — 9 marca 1937, i został zainicjonowany przez Związek Elektrowni Polskich z dyrektorem inż. Mieczysławem Kuźmickim na czele. — Cel i zadania Zjazdu są następujące:

1) oczekiwana zmiana polityki elektryfikacyjnej w Polsce i obejmują aż 14 referatów, — jest to najciekawszy dział w publicystyce polskiej.

2) spopularyzowanie technicznych i gospodarczych zagadnień elektryfikacyjnych

3) ustawodawstwo elektryczne.

K

Łapacze polskich turystów

Zbadać działalność obcych biur podróży

Nasze biura podróży w związku z otwarciem Wystawy Międzynarodowej w Paryżu przygotowują się do wielkiej kampanii werbunkowej turystów polskich.

Prym wiedzie oczywiście agentura zagranicznej turystyki „Wagons Lits/Cook", której centrala paryska nakazała najdalej idącą aktywność.

Jako państwo młode, ledwo równoważące swój budżet, sposobiące się nade wszystko do obrony, musimy się zastanowić jakim powinien być udział Polski w Wystawie Międzynarodowej w Paryżu, aby nie stał się on krzywdą dla naszego gospodarstwa narodowego i przyczyną zachowania się złotego.

Chociaż głosi przysłowie, że i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu, tłumy dorobkiewiczów i przeróżnego gatunku snobów będą pragnęły wyjechać do Paryża ze szkodą oczywistą dla krajowej turystyki. Już dziś zainteresowane zrzeszenia turystyki polskiej i uzdrowiska powinny zorganizować odpowiednią kontrakcję propagandową i udział Polaków zwiedzających wystawę ograniczyć albo do koniecznego minimum, albo uzależnić od *wzajemności*. Polak pojedzie do Francji, jak Francuz przyjedzie do Polski.

Należałoby przy tej okazji dokładnie przez powołane organa Ministerstwa Skarbu zbadać politykę Wagons Lits/Cook i sprawdzić, czy towarzystwo to jest tylko łapaczem polskich turystów do krajów zagranicznych i czy spełnia wszystkie punkty zawartej z Rządem Polskim umowy w przedmiocie organizowania wzajemnej wymiany turystycznej.

Nie wiemy o ile i czy celowe jest istnienie w Polsce obcej agentury wagonowej, skoro z równym powodzeniem nasze szlaki mogłyby obsługiwać polskie wagony sypialne, a pieniądze z tego przedsiębiorstwa płynęłyby wprost do kas Ministerstwa Komunikacji.

Nie wiemy o ile i czy nie celowszym byłoby, aby bilety do wagonów sypialnych na trasy zagraniczne sprzedawały w ważniejszych miastach określone państwowe kasy kolejowe, czy też filie P. K. O., a prowizja z tej sprzedaży przypadałaby bezpośrednio państwowym instytucjom polskim, a nie ustanowionym w kraju agenturom obcym, gdzie tyle różnorodnego elementu narodowościowego pracuje.

Nie wiemy o ile i czy właściwym jest udzielanie biurom podróży, zwłaszcza obcym agenturom, znacznych przydziałów paszportowych. Że w tej sprawie prasa codzienna nie chce się angażować, to tylko tłumaczy się względami polityki ogłoszeniowej. Wystarczy w letnim sezonie turystycznym przejrzeć dzienniki upstrzone zapowiedziami różnych wycieczek, licytujących wzajemnymi cenami biur podróży.

Stworzono u nas Ligę Popierania Turystyki (oczywiście krajowej), napisano tysiące artykułów na temat poznawania Polski A przez Polskę B i C oraz vice versa, na czym miała największe korzyści odnieść polska kolej i organizacja przedsiębiorstw autobusowych, ale narazie są to tylko projekty i akcja ograniczona do serii pociągów specjalnych.

Stworzono u nas Związki Propagandy Turystycznej, które, współdziałając z agendami zagranicznymi ORBISU, miały wpłynąć na zwiększenie przyjazdu turystów obcych. Ale znowu minimalne wyniki.

Dlaczego?

Dlatego, że się zbytnio ceremoniujemy z agenturami obcymi zagranicznej turystyki i nie potrafimy po męsku zrealizować wyraźnego programu:

1. turystyka wiąże się ściśle z tężyzną i rozkwitem każdego z narodów i dlatego nasilenie ruchu turystycznego jest doskonałym probierzem kulturalno-cywilizacyjnym i narodu i państwa,

2. turystyka wewnętrzna jest nie zastąpionym instrumentem we wzmocnieniu poczucia łączności narodowej,

3. turystyka zagraniczna ze względów reprezentacyjnych (chodzi o dobór turystów z pośród inteligencji *polskiej)* i ze względów walutowych musi być ograniczona i musi znajdować się pod ścisłą kontrolą państwową, i

4. turystyka wewnętrzna winna stać się jednym z najważniejszych instrumentów *bezpośredniej* polityki wewnętrznej państwa.

Wzorem więc państw narodowych:

a) Państwo Polskie winno ogłosić monopol prowadzenia akcji biernej i czynnej turystyki, a do udziału dopuścić jedynie towarzyszystwa społeczno-oświatowe i sportowo-turystyczne,

b) Państwo Polskie winno stworzyć w Polsce jedno tylko: państwowe biuro podróży, a jako urzędników i funkcjonariuszów tego biura przyjąć wyłącznie Polaków, dając pierwszeństwo b. wojskowym i zasłużonym działaczom turystyki biernej i czynnej i

c) Państwo Polskie winno zamknąć wszystkie dotąd działające z ramienia konsorcjów zagranicznych i krypto-zagraniczne, a niby prywatne biura podróży.

Dość już arendarstwa różnych radców prawnych w sprawach obcych agentur turystycznych. Dość wywożenia waluty zagranicę. Dość organizowania wycieczek zagranicznych, które żadnej korzyści (prócz chyba odmrażania należności za towary polskie) państwu naszemu nie dają, a pod względem propagandowym niejednokrotnie przynoszą krzywdę.

A w sprawie wystawy światowej w Paryżu przypominamy naszym snobom, że przed dwoma tygodniami premier Blum na mityngu robotniczym, agitując za zwiększeniem tempa prac zrewoltowanych robotników francuskich, głosił, że tegoroczna wystawa paryska ma stać się symbolem zwycięstwa socjalizmu i komunizmu i że „otwarcie wystawy I maja jest walką wydaną przez proletariat i front ludowy przeciwko faszyzmowi". *as.*

Polowanie na zadatek

Nowe tricki niebieskich ptaków

Galeria spryciarzy warszawskich jest olbrzymia.

Niewyczerpana jednak pomysłowość ludzka stworzyła

jeszcze jeden typ,

żyjący z kantu.

Nowy ten typ spryciarza nie ma jeszcze określonej nazwy. A

poluje on na... zadatki.

Do właścicieli lub administratorów domów, mających wolne mieszkanie, zgłaszają się

wymowni osobnicy,

nieraz bardzo eleganccy, którzy nagle pałają chęcią odnajęcia oglądanego lokalu.

Osobnik taki zgadza się przedstawić wszelkie żądane referencje, ale na wszelki wypadek,

żeby zobowiązać gospodarza

czy administratora, daje zadatek. Zadatek ten jest niewielki, w zależności od wysokości komornego.

Wkrótce, gospodarz lub administrator przekonywuje się, że reflektant na mieszkanie

jest golcem,

nie mającym, jeśli nie żadnych, to w każdym razie, stałych dochodów. W tych warunkach, odmawia swej zgody na wynajęcie lokalu i zwraca zadatek.

I tutaj zaczyna się kant. Pseudo-amator mieszkania

żąda zwrotu zadatku w jego 10-krotnej wysokości.

Następują naturalnie awantury, zbyt żywa wymiana zdań i wzajemne groźby zaskarżenia do sądu.

Kończy się jednak zwykle tym, że

dla świętego spokoju,

właściciel domu lub administrator daje kilkadziesiąt złotych, to jest podwójny lub potrójny zadatek.

Osobników tego rodzaju namnożyło się ostatnio dużo w Warszawie. Przerzucili się oni obecnie nawet

na pokoje sublokatorskie.

Zadeklarują 5-ma złotymi pokój, a gdy właścicielka lub właściciel sprawdzi referencje i chce zadatek zwrócić, żądają większej stawki.

I tak żyją te niebieskie ptaki, żerując na kłopotach innych. *Oko.*

W sprawie Fundacji

W ostatnich dniach prasa stołeczna zajęła się żywo sprawą fundacji im. Jakóba hr. Potockiego.

W związku z tym zwróciliśmy się do p. min. Kühna, z prośbą o kilka słów objaśnienia, jak się rzeczywiście obecnie sprawa fundacji przedstawia.

— Do majątków fundacji — mówi p. min. Kühn — położonych zagranicą, musimy jeszcze w dalszym ciągu przekazywać znaczne kwoty z Polski, celem ich wysanowania.

Jeśli chodzi znów o majątki, położone w Polsce, to deficyt został opanowany. Zysków co prawda fundacja chwilowo nie przynosi i prędko przynosić jeszczcze nie będzie. Możliwości te będą dopiero najwcześniej w r. 1940, to jest w tym roku, w którym będzie można ponownie przystąpić do wyrębu lasów.

Do opanowania deficytu w majątkach polskich pomogła nam bardzo zaciągnięta pożyczka bankowa. Dzięki niej zostały uregulowane wszystkie zaległości. *N*

Wytwórnia Wyrobów Tkackich

Inż. W. Izdebski i S-ka — Marszałkowska 129

Firma Witold Izdebski i S-ka prowadzi swą fabrykę w Grodzisku Maz. i posiada 4 działy produkcji: 1) dział węży parcianych, lnianych, przeciwpożarom, II) węży gumowanych przeciwpoż., III) wyroby z przędzy i włókna kokosowego (chodniki, wycieraczki i maty), IV sieci rybackie.

Firma powstała w r. 1914, przed samą wojną i przechodzi szereg ewolucji. W r. 1920 prowadzi inż. W. Izdebski biuro techniczno-handlowe, lecz to Go nie zadawalnia, jako umysł giętki i twórczy, szuka więc szeregu artykułów nie produkowanych w kraju. Znajduje węże parciane, które wyłącznie dotychczas były importowane z zagranicy, jak Niemcy i Austria, jest to, jak widzimy, praca wybitnie pionierska, okazuje się brak fachowców, rozpoczyna z małego b. interesu, sprowadza krosna i rozpoczyna produkcję.

Dział węży ma swój specjalny sezon, celem więc utrzymania kosztów produkcji i kosztów handlowych na niskim i stałym poziomie, wprowadza II dział produkcji wyrobów z przędzy i włókna kokosowego. Wówczas angażuje majstra Niemca.

Inż. Izdebski zahamował zupełnie import węży. Dziś ani metr węża z zagranicy nie przychodzi, dalej inż. I. studiuje wyrób sieci rybackich, tworzy III dział sieci rybackich. 75% sieci musi pokryć krajowa produkcja, 25% importem z zagranicy. *K.*

„Femika - film" — Marszałkowska 108

Na terenie przemysłu filmowego powstała w listopadzie r. u. nowa wytwórnia filmowa p. n. „Femika - film". Jak się dowiadujemy „Femika - film" z nadzwyczajnym nakładem pracy i pieniędzy nakręcił popularny film z powieści Mniszkówny „Ordynat Michorowski". Film ten w niedługim bardzo czasie, bo już na święta Wielkiej Nocy ukaże się w stolicy w „Capitolu", oraz na wszystkich ekranach Polski. grają najwybitniejsi nasi gwiazdorzy jak: Brodniewicz, Ćwiklińska Wiszniewska, Lindorfówna, Grabowski oraz szereg innych

Reżyseruje film znany reżyser p. Henryk Szaro. Nakręcał inż. Steinwurcel kierow, Antoni Szczerba, muzyka Henryka Warsa, dekoracje inż. Rotmil, i Noris.

Nie wątpimy ani na chwilę, że popularny ten film, opracowany kosztem wielkich nakładów pieniężnych objedzie naszą Rzplitą w pochodzie tryumfalnym.

Jak się dowiadujemy ruchliwa dyrekcja „Femika - film" — przystępuje już do realizacji nowego filmu „Trójka Hultajska". Do „Trójki Hultajskiej" powrócimy niebawem.

K.

„Alfa Laval" — Tamka 3

To dusza mleczarstwa. — 80% urządzeń mleczarskich w kraju to „Alfa-Laval". Firma istnieje od 60-ciu lat i jest pionierką mleczarstwa światowego.

„Alfa-Laval" to najdoskonalsza wirówka, to 60% ogólno-światowej produkcji urządzeń mleczarskich.

Okres złej koniunktury gospodarczej, trwający z górą sześć lat, naraził firmę na bardzo poważne straty, obecnie jednak, jak się dowiadujemy, następuje znaczna poprawa, w tej dziedzinie życia gospodarczego. I w tym to czasie, zjawia się na rynku polskim, niemiecka wirówka „Westfalia" nie posiadająca zorganizowanej reprezentacji, ale tym smutniejsze, że działa na terenie polskim, za pośrednictwem małych polskich firm.

Dyrektorem na Polskę, firmy „Alfa-Laval" jest inż. Franciszek Sarnek, który objął kierownictwo firmy w najcięższym okresie i tylko dzięki jego inicjatywie i energii firma dochodzi do okresu prosperity.

K.

Leo-film — Złota 6

Leo-film organizuje p. Maria Hirszbeinówna w r. 1926 i pod tą samą firmą istnieje do do dnia dzisiejszego.

W maju upływa 15 lat, jak p. Maria Hirszbein pracuje na polu filmowej wytwórczości rodzinnej.

Za czas swej pracy, jako pierwszy film nakręca „Czerwony błazen". Był to drugi film o reżyserii Henryka Szaro, a pierwszy występ znakomitej artystki Nory Ney. Kierownikiem literackim był znakomity znawca filmów redaktor Tadeusz Kończyc.

Drugim filmem był Zew morza. W filmie tym grała, Maria Malicka i Jerzy Mar. Następnymi filmami były: „Kropka nad i". Policmajster Tagejew" i „Uroda życia" wszystkie reżyserii Gardona. Za film „Uroda życia" Leo-film otrzymuje złoty medal.

Za eksperymentalny film „Legion ulicy" w reżyserii Forda. Leo-film otrzymuje drugi medal tygodnika „Kino" — Nie sposób jest wymienić wszystkie filmy jakie produkował Leo-film. Warto jednak zaznaczyć jeszcze o filmach „Prokurator Alicja Horn" i „Kochaj tylko mnie". *K.*

Biuro Kinematograficzne Emil Katz

Zielna 16

Właściciel powyższej firmy, p. Emil Katz pracuje w branży filmowej od r. 1923.

Dotychczas firma sprowadzała i rozpowszechniała, w kraju, filmy zagraniczne, a obecnie przystępuje do samodzielnej produkcji filmów — w kraju.

Kina stołeczne nagrywają obecnie filmy, tej firmy: „O czem marzą kobiety" i „Nicpoń", cieszące się wielkim powodzeniem.

Wkrótce ukażą się na ekranach kin warszawskich:

1) film fantastyczny „Zaginiony świat Atlantydy",

2) film szpiegowski „39 kroków" z Madelene Caroll".

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Poznańska Nr. 38 m. 15, tel. 716-09. Administracja czynna codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 9 do 13 i od 15 do 18. Konto w P. K. O. Nr. 60.078

Redaktor **Henryk Sieciński** Wydawca **Wilhelm Tokarzewski** Druk. „Kolumna" Warszawa, Nowy Świat 39